



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Karol Dąbrowski

## Tryptyk wolski

### Powrót – 1945 roku

Usłyszał gwizd parowozu i poczuł szarpnięcie wagonu. Pociąg ruszył, a on ocknął się i pomacał worek pod ławką. Siedział na podłodze z podkurczonymi nogami. Plecy miał wciśnięte pomiędzy kolana tęgiej kobiety, która siedziała na ławce. Czuł ciepło jej ciała. Musiał jednak wybrać między tym ciepłem a wyprostowaniem zdrętwiałych nóg. Wybrał to drugie. Spróbował wstać, ale ścierpnięta noga ugięła się i opadł na drzemiącą kobietę, która odruchowo zsunęła kolana. Złapał się sznurkowej siatki, zwisającej z półki pod sufitem. Uniósł powieki. Rozpoznał twarze ludzi, którzy wczoraj wieczorem – w Częstochowie – zapelnili szczelnie przedział wagonu. Ich parujące oddechy mieszały się z kłębamii parowozowego dymu, wlatującego przez okna pozbawione szyb. Mimo przejmującego zimna czuł zaduch całonocnej podróży w tłoku. Nawet ustęp był zapchany ludźmi – tak samo, jak reszta wagonu. Koła wystukiwały swoje raz, dwa, trzy..., raz, dwa, trzy... Kiwał się w ich rytm.

Pociąg zaczął zwalniać. Pisk hamujących kół ożywił ludzi. Pierwsi zeskakiwali ci, co stali na zewnątrz – na drewnianych stopniach biegnących wzdłuż trzyosioowych wagonów, zwanych „bocznikami”. Zaś ci ze środka łapali swoje tobołki, sfatygowane walizki i próbowali wysiąść, co nie było łatwe, bo pociąg stał na nasypie i odległość między stopniami a ziemią była znaczna. W tej sytuacji ci, co zeskoczyli pierwsi, dźwigali mniej sprawnych i stawiali ostrożnie na zamrożonym śniegu. Pomógł tęgiej kobiecie, przez chwilę zawisła na jego szyi, zanim stanęła obok. Tym razem poczuł ciężar jej ciała.

Maszynista powtarzał, że to już koniec podróży, bo dalej tory są zerwane. Zrzucił więc worek na plecy i ruszył za idącymi. Gdy dochodzili do majaczących w oddali peronów Dworca Zachodniego, parę osób skręciło w lewo. Podążył ich śladem. Przeskakiwał rozjazdy, czołgał się pod rozbitymi wagonami, wreszcie znalazł się na ulicy Prądzyńskiego. To stąd – w październiku ubiegłego roku – ewakuowano go wraz z pozostałą załogą piekarni mechanicznej (pierwszej w Warszawie), która w czasie Powstania wypiekała chleb dla oddziałów niemieckich, a również – w tajemnicy – dla Powstańców i ludności cywilnej. Trafił do Częstochowy, gdzie na wsi u chłopca przebiedował do wkroczenia wojsk radzieckich. Pamiętał, jak któregoś mroźnego dnia pojawiło się we wsi paru konnych żołdatów i jak jeden z nich zawołał: „Gdzie na Bierlin?”, a on wskazał ręką na zachodzące słońce.

Teraz w miejscu piekarni znajdowało się rumowisko rozerwanych betonowych konstrukcji, zwalonych stropów i pogiętych prętów zbrojeniowych, a wszystko pokryte śniegiem. Stał na środku

ulicy – sam – w martwym krajobrazie, w przerażającej ciszy. Nasłuchiwał własnego oddechu. Śnieg pod jego nogami zażółcił się i stopił od gorącego moczu. Zapiął spodnie, przerzucił worek na drugie ramię i ruszył dalej.

Dwie olbrzymie rotundy z czerwonej cegły, ze zbiornikami na gaz, stały nienaruszone i nadal wyznaczały miejsce Woli w panoramie miasta. Na ulicy Bema, na pętli stał tramwaj „jedenastka”, podziurawiony pociskami, z pałąkiem sterczącym do góry. Dalej – w domu Wawelberga – z okna wystawała rura, z której snuł się dym. Pierwszy ślad życia, jaki zobaczył. Doszedł do rogu Wolskiej. Przy wiadukcie kolejowym trzej żołnierze w rogatywkach i słuchawkach na uszach penetrowali teren, macając długimi żerdziami zakamarki wiaduktu. Skręcił w Wolską. Wieża kościoła św. Wojciecha górowała nad okolicą. Nagle coś huknęło. Obejrzał się. Pod wiaduktem błysnęło i po sekundzie grzmotnęło powtórnie. Coś przeleciało nad nim i pacnęło w śnieg. Chwilę trwało, zanim usłyszał siebie, że patrzy na urwaną nogę w saperskim bucie. Przyspieszył kroku. Zbliżał się do celu. Był zgrzany, gdy stanął przed trzypiętrową kamienicą. W niektórych oknach lśniły szyby. Nad bramą, w okrągłej niszy tkwiła płaskorzeźba Matki Boskiej z dzieciątkiem, niżej zamaszty napis informował, że „min niet”. Uchylił środkową część trójdzielnych drzwi, zamykających bramę. Skrzypnęły przeraźliwie w ciszy panującej wokół. Przeszedł po żółtych kafelkach, którymi wyłożona była brama i znalazł się na podwórzu. Na tle wypalanej oficyny, której wewnątrz się zapadło, ujrzał znajome drzewo. Stało potężne, o rozcapierzonych i poczerniałych gałęziach, pokrytych przymarzniętym śniegiem. Wokół drzewa walały się skrzynki po amunicji, łuski po pociskach i koński nawóz. Przysiadł na denku wiadra i oparł głowę o pień. Oddychał głęboko. Nad nim rozpościerała się płatanina gałęzi. Spojrzał w weneckie okno swojego mieszkania. Było całe. Pomyślał, że trzeba wejść na trzecie piętro.

## Człowiek i drzewo 1936-1944 roku

Zamieszkałeś w tej kamienicy z żoną i trzyletnim synem w 1936 roku. Właścicielka posesji wybudowała ją w miejscu po rozebranych parterowym drewniak. Choć bez centralnego i gazu, stanowiła dla ciebie szczyt marzeń i możliwości finansowych. I tak, pracując w pobliskich warsztatach naprawy tramwajów, musiałeś zostawać po fajrancie, aby utrzymać rodzinę. Szybko nawiązałeś znajomości z nowymi lokatorami, zwłaszcza że umiałeś to i owo naprawić i jako „złota rączka” nie odmawiałeś pomocy, traktując ją, jako sąsiedzką przysługę – bezinteresownie. Byłeś lubiany i szanowany. W owych czasach sąsiedzkie wizyty, a nawet przyjaźnie były na porządku dziennym. Wkrótce o Bednarskich, Stadnickich, Stawowiakach, siostrach Zimnych, Górnickich, Durlikach, fotografach Mikołajewskich wiedziałeś dużo, a i oni o tobie – również. Jedynie z właścicielką nie układało się najlepiej, bo wciąż podnosiła komorne i kiedy zdarzyło ci się wracać na „cyku”, odgrażałeś się, że gdy zmienią się czasy, to powiesi się ją na latarni.

Często po pracy, siedząc w oknie na trzecim piętrze swojego mieszkania, obserwowałeś podwórze z oficyną w kształcie litery L w głębi, która nie miała żadnych wygod, poza światłem i jej lokatorzy z każdą potrzebą musieli latać do ceglano-przybytku, stojącego naprzeciw z dwiema dziurami w betonowej posadzce. Podwórze było wyłożone polnymi kamieniami, pomiędzy których – latem – wyrastał i rozścielał się dziki rumianek. Bliżej kamienicy był skwer – klomb obłożony bambulcami z dużym już wtedy kasztanowcem pośrodku.

Gdy nadchodziła jesień, dzieciaki strącały kasztany patykami i kamieniami i wypychały nimi kieszenie. Kto nabrał ich najwięcej, zwyciężał w klasyfikacji na najlepszego. Twój syn też przynosił do domu kasztany. Były drobne, lśniły, ale koło Bożego Narodzenia wysychały, marszczyły się i wtedy nadawały się tylko do palenia w kuchni, co dla chłopca było dodatkową atrakcją, bo skorupki pękały z hukiem, aż fajerki podskakiwały. Zawsze wkładałeś jeden do kieszeni spodni, wierząc że uchroni przed reumatyzmem. Chwaliłeś stróża Walentego, który na wiosnę bielił pień drzewa, aby robactwo nie szło do góry, a jesienią zgarniał zeschnięte liście. Patrzyłeś z zainteresowaniem, jak pod koniec maja kasztan pokrywał się biało-różowymi kwiatami, nazywałeś je „kandelabrami”. I tak było każdego roku. Aż do września 1939. Bo odtąd inne sprawy przesłoniły uwagę, jaką okazywałeś drzewu.

Rozpoczęły się pierwsze naloty, oklejanie szyb w oknach białymi paskami papieru w ikisy. Powiedziałeś wtedy do syna: „Jak przeżyjesz tę wojnę, to będziesz żył dalej, może lepiej”. Słuchałeś przemówień prezydenta Starzyńskiego z superheterodyny marki Philips, z której tak byłeś dumny, a którą wkrótce musiałeś oddać, bo posiadanie radia groziło śmiercią. Na apel płk. Umiaszowskiego opuściłeś miasto wraz z innymi mężczyznami i rowerem z „balonami” na kołach o drewnianych obręczach, ruszyłeś na wschód. Twoja żona z synem przeniosła się na Młynarską do matki i tam w piwnicy, żywiąc się jedynie kaszą i kostkami cukru przeżyli oblężenie, bombardowania i doczekali twojego powrotu. W mieście byli Niemcy. Nie wstydzili się brać chleb, rozdawany z niemieckiej ciężarówki, co skrzętnie filmował operator kroniki ręcznym arriflexem.

Nastaly srogie wojenne zimy, zwłaszcza ta druga z temperaturą poniżej –25 stopni dała się ludziom we znaki. Przydziałowego węgla starczało na tydzień. Bywało, że zakładałeś tabliczkę z napisem „Probefahrt”, niżej „Wóz na próbie” na przód wyremontowanego tramwaju, podjeżdżałeś pod dom i zrzuciłeś worek z trocinami, którymi paliło się w kuchni. Szybko robiło się ciepło, ale trwało ono krótko. Więc wkładałeś w licznik cienką stalową igłę, która zatrzymywała obroty tarczy odmierzającej zużyte kilowaty. Uzyskanym w ten sposób dodatkowym prądem ogrzewałeś kuchnię, zrobionym przez siebie piecykiem elektrycznym. W pokojowym piecu nie paliło się wcale. Musiały wystarczać butelki z gorącą wodą, które kładło się w nogach, gdy szło się spać. Szyby w oknach pokrywała wzorzysta warstwa lodu, zgrubiała przy framugach i trzeba było dobrze się nachuchać, aby uzyskać przezroczyste kółko i zobaczyć przejeżdżające z hukiem tramwaje lub chłopskie furmanki. W parujących końskich odchodach wróble szukały pożywienia i ciepła jednocześnie.

Przysiadaleś obok syna, który z nosem przy szybie oglądał uliczny spektakl, zwłaszcza gdy przejeżdżały kolumny wojsk pancernych, wjeżdżających do miasta ówczesną Litzmanstrasse i kierujących się przez most Kierbedzia dalej na wschód.

Przemy śniegu zagarnianego przez Walentego leżały na ulicy do maja, zanim całkiem stopniały. Gdy minęły mrozy, dozorca odwijął słomiane wiechcie z pnia drzewa. Dzięki tym zabiegom kora nie pękała, a soki zwawiej i wcześniej płynęły do górnych gałęzi, których końce pęczniały, aż któregoś dnia pękały wypuszczając zwinięte zrazu listki, a następnie rozchylając je w podłużne liście po kilka na każdej lodydze. I wreszcie całe drzewo pokrywało się kwiatowymi choinkami, które dla ciebie były kandelabrami. Dla mieszkańców widok rozkwitającego drzewa ożywiał serca, budził nadzieje, dodawał sił w tych ciężkich wojennych czasach, gdy ginęli bliscy, kiedy alarmy lotnicze zrywały ludzi z łóżek, gdy brakowało kartkowego chleba, zwanego „dźwiękowcem”, kiedy marmolada z buraków była rarytatem, a karbid – alternatywnym źródłem światła.

Dla kontrastu – lata były upalne. O godzinie policyjnej dozorca zamykał bramę. Nie wolno było wychodzić na ulicę, a dzień trwał jeszcze dwie godziny. Ludziom nie chciało się wracać do nagranych mieszkań, więc gromadzili się w cieniu, jaki dawał kasztanowiec. Kwitło życie podwórkowe, komentowano wydarzenia na frontach i w mieście. Zbierano się przy ukwieconym ołtarzu z obrazem Serca Jezusowego, modlono się i śpiewano litanie o koniec wojny i lepsze czasy. Ową ceremonię zakłócał czasem wracający do oficyny Rudowski i jego pijacki śpiew z powtarzanym refrenem: Jak ta lala, jak ta lala”. Nocami, gdy syreny ogłaszały alarm lotniczy, lokatorzy zbiegali do piwnicy. A bywało, że pierwsze bomby spadały zanim zawyły syreny. Już na schodach pomagałeś przestraszonemu synowi zapiąć szelki u spodenek, a gdy ulokowałeś go wraz z żoną w prowizorycznym schronie, wychodziłeś na zewnątrz, aby z innymi pełnić dyżur OPL-u przy kubłach z wodą i piaskiem, przygotowanymi na wypadek pożaru. Grozę potęgowały „flary” – na wolno opadających spadochronach paliły się ładunki magnezji, oświetlając wszystko trupim blaskiem. Było widno jak w dzień – domy i ludzie stawali się zupełnie bezbronni. Tylko kasztan stał dumnie – niewzruszony i odważny.

W czasie jednego z nalotów, kiedy kukuruźniki upodobały sobie Wolę i bomby pacały gęsto, musiałeś lecieć na górę do mieszkania i zmienić butelkę spod ściekającego samogonu, zwanego bimbrem, aby nazajutrz dostarczyć go nabywcy i mieć na przysłowiowy chleb. To wtedy zbombardowano spichlerze Michlera na Staszica i ziarno smażyło się i piekło tygodniami, roznosząc po okolicy specyficzną woń spalenizny. Gaszenie wodą nie pomagało. Inny swąd dochodził na Wolską i przenikał do mieszkań w 1943 przed Wielkanocą, kiedy kłęby czarnego dymu unosiły się nad gettem. Matka twojej żony powtarzała: „Skończą z nimi, wezmą się za nas”. Biedna, zginęła niebawem w Powstaniu, nie mogąc wydostać się z płonącego domu.

Jeszcze rok 1943. Ktoś przyniósł ci peryskop z łodzi podwodnej kupiony na Kercelaku od marynarza z Kriegsmarine. Rozmontowywałeś go w ukryciu z dala od okna, aby soczewki przekazać organizacji podziemnej. Mikołajewskim, którzy prowadzili zakład fotograficzny robiłeś z białego metalu ramki do wywoływania filmów. Oprócz zapłaty dawali ci dla syna kawałki taśmy, która wtedy była palna i on zawijał ją w gazetę, podpalał i przyduszał nogą, robiąc „kopcica” – szczypiący w oczy dymny obłok. Nie wszyscy lubili takie zabawy. Pozwalałeś synowi bawić się na podwórzu z dziećmi i ganiać z nimi na bosaka, zwłaszcza po deszczu, gdy mogli wpadać w kałuże, rozpryskując fontanny wody. Zawsze śmiałeś się z Bednarskiego – sąsiada z II piętra, który wracając z pracy wołał syna, aby wracał do domu, a gdy ten protestował, jego ojciec wypowiadał sakramentalne: „Bodziu! Nie znoszę opozycji!”.

Zrobiłeś hulajnogę. Budziła ona zachwyt i podziw podwórkowej dzieciarni, korzystającej tylko z desek połączonych kawałkiem skóry i trzech łóżysk – dużego z przodu i dwóch małych z tyłu. Hulajnoga twojego syna miała metalowe okucie na trzpieniu, łączące obie deski. Była cichobieżna, albowiem na łożyska miała nabite gumowe krążki. Pozostałe hulajnogi hałasowały niemilosiernie, brzęcząc metalem po chodniku czy bruku. W owych czasach pojazdy te były ersatzem rowerów. Do zabawy służyły też fajerki, popychane odpowiednio wygiętym drutem, za którymi biegło się i wykonywało różne ewolucje. Jedyną rozrywką masową, dostępną dla Polaków, było kino. I choć propagowano hasło: „Tylko świnie siedzą w kinie”, zabierałeś w co niek którą niedzielę żonę i syna do „Italii” na rogu Wolskiej

i Młynarskiej lub dalej – do „Roxy” przy Karolkowej. Razem ze Stadnickimi – sąsiadami z dołu – którzy mieli córkę o jasnoblond włosach, oglądaliście „Paracelsusa” walczącego z muchami tse-tse, salono-we komedijki z Hansem Moserem, taneczne popisy Mariki Rókk i Wochenschały z powtarzaniem na końcu „Pamiętajcie o zbrodniach w lasu pod Katyniem”, a nawet „Dorożkarza nr 13” z Władysławem Walterem w roli głównej. Małą Stadnicką nazywałeś przyszłą synową, widząc wymianę ukradkowych spojrzeń między dziećmi i wypieki na ich twarzach, kiedy zapalało się światło na sali, a oni siedzieli zbyt blisko siebie. Tamte wizyty w kinie i fascynacje innym życiem na ekranie, niż to, które było w rzeczywistości, zaważyły na późniejszym życiu syna. Niestety, Grażynka Stadnicka nie została twoją synową.

Swego rodzaju atrakcją – nie tylko dla najmłodszych – było palenie przylegających do kamienicy, drewnianych parterowych domków, zarządzane przez okupanta ze względu na zagrożenie sanitarne. Mieszkającą w nich biedotę i „element” wysiedlono uprzednio, a wozy straży pożarnej z Chłodnej zabezpieczyły teren. Oszałałe szczury uciekały z płonących zabudowań na jezdnię, a gapie gonili je z kijami i kamieniami. Te zabawy były odskocznią od codziennego koszmaru łapanek, wywózek i egzekucji.

W lutym 1944 zaprowadziłeś syna na ulicę Leszno, gdzie naprzeciw gmachu Sądów, na kamiennych balkonach zniszczonego domu wisiały ciała rozstrzelanych więźniów Pawiaka. Tłumy warszawiaków szły oddając hołd, SS-mani pilnowali, aby nikt się nie zatrzymywał. Powtarzałeś: „Zapamiętaj, synu... zapamiętaj!”

Była też szkoła, oczywiście nie normalna. Syn uczył się na tajnych kompletach, które odbywały się również w twoim mieszkaniu, a jeden nawet na rogu Chłodnej i Żelaznej, gdzie w domu istniejącym do dziś mieściła się niemiecka Nordwacha.

Tego lata przeczuwałeś, co się może wydarzyć w mieście, bo wywoziłeś żonę z synem do Łochowa, gdzie twoi rodzice mieli domek z ogródkiem i łatwiej było o żywność tak potrzebną do przetrwania. I przyszło to najgorsze – w pierwszych dniach Powstania odsiecz niemiecka szła przez Wołę. Nie zdążyłeś dotrzeć do miejsca zgrupowania twojego oddziału, gdzieś w okolicach Politechniki. Mieszkańcy domu zaczęli budować barykadę w poprzek ulicy. Pomagałeś dźwigać chodnikowe płyty, żelazne wagoniki z pobliskiej glinianki i inne szejpe. Było ci żal przewracać na stos świeżo polakierowany tramwaj, pomyślałeś zapewne, że nie będzie już wozil pasażerów. Odgłosy walki zbliżały się, powtarzano trwożne wieści – palą i mordują. To kryminaliści z brygady Dirlewangera pacyfikowali dom po domu. Do bramy wbiegło kilka osób z ulicy, dozorca Walenty zdążył zamknąć drzwi na klucz i wycofał się na podwórze. Pozostali chowali się do piwnicy. Słychać było łomotanie do bramy i dzikie wrzaski. Podwórze opustoszało, tylko ty zostałeś, sparaliżowany strachem. Rozległ się trzask wyłamywanych drzwi i stukot podkutych butów po wyłożonej kafelkami bramie. Jakaś siła pchnęła cię ku drzewu, objąłeś pień i wdrapałeś się do góry. Zniknąłeś w gęstwinie kasztanowych liści. Na podwórze wpadli Niemcy ze szmajserami wycelowanymi przed siebie. Któryś rzucił granat w okno mieszczące się nad bramą zakładu fotograficznego. Buchnęły płomienie. Ruszyli do piwnicy z okrzykiem – „alles banditen rauss!” Przywarłeś do pnia, bałeś się poruszyć. Huknęły granaty wrzucone do środka. W dymie i wrzasku wypędzali przerażonych ludzi. Poprzez liście rozpoznawałeś sylwetki – Durlika, którego ojciec służył w granatowej policji, siostry Zimne – stare panny, co obszywały na maszynie Singer okoliczną biedotę, Rutkowskiego, wesółka z oficyny, panią Pelagię, co trzymała w kredensach i szafkach mnóstwo kotów, Bednarskiego z rodziną, Sońkę, której Walenty otwierał bramę, gdy po godzinie policyjnej przywozili ją niemieccy lotnicy, uperfurnowaną sznapssem, Mikołajewskich – jego drobnego i ją postawną – właścicieli atelier foto, które właśnie płonęło. I wielu innych, których znałeś od lat, a teraz miałeś ich widzieć może po raz ostatni, bo już wyprowadzano ich na ulicę. Słowa komend mieszały się z płaczem dzieci. Wykrzykiwano imiona bliskich i wzywano boskiej pomocy. Dozorca Walenty odruchowo złapał miotłę, leżącą na ziemi, ale żołnierz wytrącił mu ją z rąk i popędził w głąb bramy. Szyby pękały od ognia na II piętrze, piszcząc pozostawiony tam pies, po chwili umilkł. Skwierczenie i trzask palącego się dobytku przerywały serie z pistoletu maszynowego. Kasztanowe liście zaczęły się kruszyć i zwijać od gorąca. Pod wieczór zaczął padać deszcz. Poruszyłeś zdrętwiałe ręce i nogi i wolno zsuwałeś się z gałęzi na gałąź, aż zawisłeś nad ziemią i puściłeś drzewo. Przez ogrodzenie, łączące kamienicę z oficyną przeszedłeś na teren ogródków działkowych. Tam zaległeś w zagonie z pomidorami, odrętwiały chciałeś przeczekać strzelaninę i wybuchy, ale one nie ustawały. Blask od palących się naokoło domów rozświetlał noc. O świcie wydostałeś się na tyły zajezdni tramwajowej. Trwały tam zaciekle walki. Musiałeś się wycofać. Na Dworskiej zostałeś zapędzony do grupy mężczyzn, prowadzonych przed posuwającymi się z tyłu czołgami. Na Towarowej jeden z czołgów wyprzedził kolumnę idących i zatrzymał się. Z wieżyczki wychylił się oficer i dłonią wskazał: „ein, zwei, drei...” Byłeś wśród wskazanych. Kazano wam wejść na wierzch. Oficer zatrzasnął za sobą klapę wjazdu i czołg ruszył ostro do przodu. Przyłgnąłeś do żelastwa, trzymając się kurczowo jakiegoś występu. Reszta oblepiła swoimi ciałami wieżyczkę. Pojazd rwał do przodu. W wylotach ulic prostopadłych do Alei Jerozolimskich stały barykady, za którymi kryli się powstańcy. Widząc cywili na nieprzyjacielskim czołgu opuszczali broń. Miałeś głowę wtuloną w ramio-

na. Kiedy zerknąłeś w bok, ujrzałeś przez balustradę mostu Wisłę. Czółg zatrzymał się przy wieżycy po praskiej stronie. Z luku wyskoczył oficer z czarną teczką i podążył do punktu dowodzenia placówki. Żołnierze ustawiali działka, kierując je na miasto. Pojawił się miejscowy oficer, wyjął z kabury waltera. Trzej żołnierze z podwiniętymi rękawami bluz i szmajserami popchnęli was w kierunku schodów prowadzących nad rzekę. W tym momencie z wieżycy wypadł oficer z plikiem papierów pod pachą. Krzyżąc podbiegł do tego z pistoletem. Coś szwargotali. Ważyły się wasze losy. Patrzyłeś w oczy towarzyszy niedoli. Baliście się odezwać, zdając sobie sprawę, że koniec jest bliski. Najmłodszy z was płakał. Staliście na schodach, poniżej poziomu jezdnii. Z tej perspektywy zobaczyliście jak miejscowy kiwnął pistoletem w waszą stronę i schował go do kabury. Żołnierze warknęli i popchnęli was do góry. Oficer wskoczył na czółg i schował się w środku. Wy zajęliście te same miejsca jak poprzednio. Czółg obrócił się w miejscu i pognął z powrotem, minął Grójecką. Przy Opaczewskiej padła komenda: „weg! weg!” I pognano was przez tory Dworca Zachodniego na ulicę Prądyńskiego do zabudowań olbrzymiej piekarni. Jako ślusarz zostałeś zatrudniony przy uruchamianiu urządzeń. Zaczęto wypiekać chleb. Tam przetrwałeś do upadku Powstania.

## Przeżyłem i zapamiętałem – 1995 roku

Ojciec przyjechał po nas do Łochowa w lutym 1945. Radość ze spotkania i lzy mieszały się ze sobą. Do Warszawy wracaliśmy okazjami. Wisłę przeszliśmy po lodzie, bo wszystkie mosty były wysadzone, a wysokowodnego naprzeciw Karowej jeszcze nie postawiono. Ojciec zdołał wykombinować najpotrzebniejsze graty: krzesła, stół, tapczan. Tapczan był szeroki i spali na nim w poprzek rodzina i znajomi, powracający przez Wołę do miasta. Jeden z nich pojawił się w obozowym pasiaku – początkowo nikt nie mógł go rozpoznać, tak był zmieniony.

W tych pierwszych dniach nie było światła, ani wody. Za potrzebą chodziło się na podwórze, gdzie stacjonujący tu do niedawna Niemcy wybudowali latrynę z długą dechą do siedzenia i drugą, służącą jako oparcie.

Ojciec chodził odgruzowywać zajezdnię tramwajową i wygrzebywać maszyny w spalonych warsztatach. Zapłatą była cienka zupka, którą z uruchomionej stołówki przynosił w bańce do domu.

Zdarzyło się jeszcze parę nalotów, trwała przecież wojna. Samoloty startowały, gdzieś z Pomorza czy Poznańskiego, ale desperackie rajdy niemieckich asów nie robiły wrażenia, bo cóż jeszcze można było zburzyć?

Wiosna tego roku była wczesna. Już w marcu pojawiły się bociany, a na początku kwietnia zazieleniły się trawniki, krzewy i drzewa. Tylko kasztan na podwórzu stał czarny, końce gałęzi nie pęcniały jak zwykle o tej porze i tak było w maju, czerwcu, lipcu. Nic. Nie pomogły kubły wody wylewane wokół pnia, kiedy woda była już w kranach. I skopanie ziemi. Patrzyłem na wysiłki ojca, jak próbował przywrócić życie drzewu, które ocalało mu życie.

Tymczasem wrócili z tułaczki: mali Bednarscy z matką, siostry Zimne, Stadnicka z córką – blondasem. Zakrzewska wyremontowała sklep i sprzedawała mydło i powidło. Mikołajewska przeniosła się na Grochów, otworzyła zakład fotograficzny i przez długie lata ludziła się, że wróci. Ich spalony lokal zajął nowy lokator – fryzjer Łaskawiec. Pani Hintzowa, wywłaszczona dekretem Bieruta, zamieszkała w kawalerce na II piętrze i utrzymywała z rodzicami serdeczne kontakty. Ojciec śmiał się ze swych przedwojennych pogroźek. Ci, co ocalili z oficyny, nie mieli do czego wracać, musieli szukać innych miejsc osiedlenia.

Z mężczyzn wrócił jedynie stróż Walenty. W sierpniu wydostał się spod zwału trupów na dziedzińcu fabryki Franaszka. Tam zginęli pozostali mężczyźni z naszego domu. Ich żony i dzieci zagnano uprzednio do kościoła św. Wojciecha.

Przeszło pierwsze powojenne lato, a kasztan nie ożył, stał z czarnymi gałęziami, wzniesionymi błagalnie ku niebu, nie dawał cienia jak niegdyś, ani owoców tak chętnie przez nas zbieranych. Aż nadszedł taki dzień jesienny, kiedy ojciec i stróż Walenty stanęli wokół drzewa z piłą i siekierą. Najpierw pan Walenty naciął pień siekierą i w to nacięcie włożyli obaj podłużną piłę. Wolno, posuwistymi ruchami wrzynali się w pień. Wielu lokatorów zeszło na podwórze, aby obserwować śmierć drzewa. Kiedy piła uwięzła w pniu, ojciec wbił w narzędzie metalowe kliny, co pozwoliło piłować dalej. Trwało to jakiś czas. Aż drzewo odchyliło się w jedną stronę i znieruchomiło w tym pochyleniu. Wszyscy patrzyli w górę. Po chwili zatrzeszczało, jęknęło i zważyło się na ziemię. Suche gałęzie rozsypały się wokół. Ludzie stali w milczeniu, zanim się rozeszli.